

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 4875·— Mk. z przes. 4940·— Mk. Półrocznie 9880·— Mk. Rocznie 19760·— Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 100., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 300.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 400 Marek.**

Rok XIX. Kraków, 30 grudnia 1922. Nr. 47.

Pogrzeb pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej



Zwłoki ś. p. prezydenta Narutowicza w trumnie.

OD WYDAWNICTWA.

Zamykając numerem niniejszym 19-ty rok naszego wydawnictwa, możemy z dumą spojrzeć na ten miniony okres naszej pracy. W chwilach dziejowego przewrotu, który po krwawej pożodze wojny światowej przyniósł nareszcie upragnioną niepodległość, wytrwaliśmy na ciężkim posterunku pomimo trudności, z jakiemi nasze wydawnictwo musiało i musi walczyć od chwili wybuchu wojny Brak najniezbędniejszych materyałów i szalejąca drożyzna stwarzały niezmiernie ciężkie warunki, zwłaszcza dla takiego wydawnictwa, jak *Nowości Illustrowane*, które były i są **jedyną w Polsce**

illustracyą chwili bieżącej.

Mimo to pokonaliśmy wszyst-ie trudności w poczuciu obowiązku, jaki na nas ciąży. W chwi'ach tak doniosłych dla narodu polskiego przyświecał nam jed n jedyny cel: uczynić z *Nowości Illustrowanych* **najwierniejsze, bo utrwalone na kliszy fotograficznej**

zwierciadło dziejowych wydarzeń

jakie przeżywamy, a przedewszystkiem bezpartyjną **illustrowaną kronikę odradzającej się Polski.**

Ten cel będzie nam przyświecał i w dalszym ciągu naszej pracy Nie poskąp my starań, aby przez podniesienie zarówno redakcyjnej, jak i technicznej strony pisma uczynić z *Nowości Illustrowanych* możliwie najpełniejsze odbicie wielkich chwil, jakich Opatrzność dozwoliła nam dożyć. W tych usiłowaniach musi jednak pomódz nam czytający ogół przez popieranie naszego wydawnictwa Ufni w to poparcie i pomoc, rozpoczynamy nowy, da Bóg, lepszy okres naszej działalności na pożytek Ojczyzny

Od Administracyi.

Ciągły wzrost drożyzny materyałów, jak papieru, farb, chemikaliów itp., oraz podwyżka płac zm sza nas do **podniesienia ceny** *Nowości Illustrowanych* To nie naczne podniesienie prenumeraty nie stoi jednak w żadnym stosunku do olbrzymiego w ostatnich czasach podrożenia towarów, jak i robocizny. Jedynie fakt, że *Nowości Illustrowane* posiadają własne zakłady drukarskie i cynkograficzne, pozwala nam **utrzymać cenę pisma w tak skromnych w stosunku do ogólnie panującej drożyzny rozmiarach** i tem samem uczynić je dostępnem dla najszerszych kół. Nie wątpimy, że nasi P. T Czytelnicy, odczuwający na sobie dotkliwie orgiję drożyźnianą, ocenią to należycie, nie skąpiąc nam nadal swego poparcia.

Od dnia 1-go stycznia 1923 roku cena *Nowości Illustrowanych* wynosić będzie:

kwartalnie	. . .	**7400 Mp.**
półrocznie	. . .	**14800 „**
rocznie	. . .	**29600 „**

Pojedynczy Nr kosztować będzie 600 Mp.

Pogrzeb
pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej.

Tragiczny zgon pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej odbił się żałobnem echem w całej Polsce, wstrząśniętej do głębi potwornym czynem szaleńca. W uroczystościach żałobnych zjednoczył się cały naród, bez względu na partye i stronnictwa, składając hołd zmarłemu Dostojnikowi Państwa Polskiego. Przez trzy dni zwłoki śp. prezydenta Narutowicza spoczywały na Zamku królewskim, poczem w piątek, dnia 22-go grudnia b. r. złożono je na wieczny spoczynek w Katedrze św. Jana w Warszawie.

Około godziny 10-tej rano przybyli do Katedry i zasiedli na swych miejscach ministrowie z premierem na czele, Sejm i Senat, marszałkowie, korpus dyplomatyczny, jeneralicya, delegacye województw, samorządów, wyższych uczelni i organizacyi i instytucyi społecznych. Wkrótce potem przyjechał Prezydent Rzeczypospolitej, którego powitało duchowieństwo i przeprowadziło do presbiteryum.

Rodzina zmarłego prezydenta zajęła miejsca za katafalkiem wraz z członkami domu.

Żałobną mszę pontyfikalną odprawił J. E. ks. kardynał Kakowski w asystencyi kapituły i licznie zebranego kleru poczem ks. prałat Szlagowski wygłosił kazanie żałobne, które zakończył, zwracając się do prezydenta Wojciechowskiego temi słowy:

Dostojny panie prezydencie, w twoje ręce, jako przedstawicielowi Najjaśniejszej Rzeczypospolitej składamy uroczyste wynurzenia naszej powszechnej boleści z powodu morderstwa dokonanego na osobie ś. p. Gabryela Narutowicza. A jednogłośnie dodam, iż sama wieść, że mamy nowego prezydenta przyniosła nam ulgę w cierpieniu i ukojenie w niepewności.

Niech Bóg do pokoju sposobi cię, panie prezydencie, do wszystkiego dobrego w Państwie, niechżeż nam da wszystkim wesele serdeczne, aby był pokój za dni twoich i na wieczne dni i aby wierzyła Polska cała, że z nami Bóg i miłosierdzie Jego.

A duszy ś. p. prezydenta Gabryela wieczny odpoczynek racz dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci. Amen.

Po kazaniu ks. kardynał Kakowski odprawił modły przy katafalku, który tonął w powodzi wieńców, poczem ministrowie i jenerałowie wzięli trumnę ze zwłokami ś. p. prezydenta Narutowicza na ramiona i ponieśli ją ku katakumbom Katedry.

W odrzwiach podziemi ks. kardynał odprawił ostatnie „Requiem". posypał trumnę ziemią, a proboszcz Katedry wprowadził ją do krypty.

W chwili gdy ciało ś. p. prezydenta Rzeczypospolitej Gabryela Narutowicza zostało złożone na wieczny spoczynek, grzmiało 101 strzałów armatnich.



Odbudowa Wawelu: Widok „Kurzej stopki" i gotyckiej części Zamku po odrestaurowaniu w r. 1850.

Odbudowa Wawelu.

Odbudowa Wawelu, tego drogiego sercu każdego Polaka skarbca pamiątek naszej wiekopomnej przeszłości, postępuje szybkim krokiem naprzód. Jest to niewątpliwie zasługa obecnego kierownika robót restauracyjnych na Wawelu, arch. Szyszko-Bohusza, który, jako znakomity architekt i artysta w jednej osobie, potrafił sprostać tak wielkiemu zadaniu, jak przywrócenie Wawelowi jego dawnej świetności z złotej doby Zygmuntowskiej. To, czego zdołał dokonać już prof. Szyszko-Bohusz w stosunkowo krótkim czasie budzi, ogólny podziw i jest najlepszą zachętą społeczeństwa do dalszych ofiar na koszta odbudowy.

Z dokonanych w ostatnich czasach prac, należy zwrócić uwagę na ukończoną w listopadzie 1922 r. restauracyę fasady zewnętrznej gotyckiej części Zamku i „Kurzej stopki". Między innemi odbudowano na wysokości II-go piętra t. zw. „loggię", obszerną galeryę z rozległym widokiem na Kraków. Do naszych czasów dochowały się zaledwie szczątki owej galeryi, jak to widzimy na

fotografii, przedstawiającej tą część Zamku w stanie, w jakim znajdowała się po restauracyi w roku 1850. Obecnie na dużej przestrzeni wysuniętego naprzód tarasu wykonano parapet kamienny, na którym stanęły w niewielkiej od siebie odległości cztery ciosane z kamienia kolumny. Cała gotycka część Zamku wraz z „loggią“ została pokryta wysokim dachem miedzianym.



Odbudowa Wawelu: „Kurza stopka“ i gotycka część Zamku z „Lubranką“, wieżą Zygmunta III. i „latarnią“ po odrestaurowaniu w r. 1922.

Odrestaurowano również Lubrankę, wieżę Zygmunta III. i t. zw. „latarnię“, t. j. małą ozdobną wieżyczkę pomiędzy „Kurzą stopką“ a wieżą Zygmunta III. Na Lubrance osadzono dużą złoconą kulę. Podobnie jak na kuli wieży zygmuntowskiej, włożono prócz aktów restauracyi, dokumenty najścia bolszewickiego i odezwy Komitetu Obrony Państwa, wzywające naród polski do walki. — W kuli na „Lubrance“ prócz aktów, umieszczono autentyczne gazety bolszewickie, pełne tryumfu z powodu zbliżania się czerwonej armii do Warszawy. Pismami temi, pochodzącemi z całej Rosyi, poobwijane były głowy, zdobiące ongiś stropy komnat wawelskich, a obecnie przywiezione z Rosyi na Wawel.

Dar dla Sejmu śląskiego.

Gdy po okresie wiekowego uścisku i strasznych zmagań się z hydrą prusactwa wybiła wreszcie dla Śląska Górnego godzina wyzwolenia, chwilę tę upamiętnił warszawski Sejm Ustawodawczy darem, jaki złożył pierwszemu Sejmowi wolnej ziemi śląskiej podczas uroczystości jego otwarcia. Przybyła na tę uroczystość delegacya sejmowych przedstawicieli Polski z marszałkiem Trąmpczyńskim na czele ofiarowała Sejmowi śląskiemu na pamiątkę tej wiekopomnej chwili wspaniały obraz znanego malarza i historyka sztuki, Ludwika Stasiaka, p. t. „Pielgrzymka na Jasną Górę“. Autor tego dzieła, odznaczonego tak zaszczytnie, że zdobi salę obrad pierwszego Sejmu śląskiego, znany całej Polsce z swych prac artystycznych i naukowych z zakresu historyi i sztuki, jest ściśle związany z Krakowem. Tutaj uczęszczał na Wszechnicę Jagiellońską i tutaj stawiał pierwsze kroki swej pracy artystycznej na niwie malarstwa pod kierunkiem Jana Matejki. Z bardziej znanych jego obrazów należy wymienić: „Jasna Góra“, „Refleksye“, „W truchcie“, „Ostatni nabój“, „Pojedynek amerykański“, „Hrabia i Pankracy“ i wiele innych.

Równocześnie p. Stasiak pracuje na polu literatury, a przez księgarnie przesuwa się przeszło 30 tomów p. t. „Brandenburg kraina słowiańskich mogił“, „Rycerze śpiący w Tatrach“, „Pieniądz“, „Gadzina“, „W zapadłym szybie“, „Obrona sztandaru“, „Małomieszczanie“, „Krwawe ręce“, „Srebrny dzwon“ itd.

Zarazem pracuje jako historyk sztuki wydając prace: „Prawda o Piotrze Vischerze“, „Rewindykacye własności naszej“, „O narodowości Wita Stwosza“, „Wit Stwosz źródłem natchnienia Albrechta Dürera“, „Polska plastyka średniowieczna“. Pod prasą znajduje się czterotomowe dzieło: Wit Stwosz



Dar dla Sejmu śląskiego: Ludwik Stasiak, autor obrazu „Pielgrzymka na Jasną Górę“.

jego żywot i jego dzieła; tudzież: Historya Polskiej sztuki od pranistoryi do połowy XVI. wieku. Lwowski miejski teatr wystawił komedyę Stasiaka „Miliarderzy“, krakowski humoreskę sceniczną p. t. „Kołtuny“.



Dar dla Sejmu śląskiego: „Pielgrzymka na Jasną Górę“, obraz Ludwika Stasiaka, ofiarowany Sejmowi śląskiemu przez Sejm Ustawodawczy.

Nad mogiłą nestora krakowskich malarzy.

W ukochanym swoim Krakowie, w zacisznym własnym domu przy ul. Studenckiej dokonał długiego a pracowitego żywota — najstarszy malarz w mieście ś. p. Antoni Gramatyka.

Urodzony w r. 1841 w Kalwaryi Zebrzydowskiej początkowe nauki pobierał ś. p. Gramatyka w Wadowicach, następnie zaś w Krakowie wstąpił do praktyki u malarza pokojowego, gdzie przypadkowo na niepospolitym jego talencie poznał się wówczas profesor rysunków Jan Bizański i wziął go w prywatną naukę. Od tego czasu szybko przechodził przez wszystkie szczeble systematycznych studyów artystycznych.

Kończy więc krakowską Szkołę Sztuk Pięknych, otrzymuje stypendyum rządowe i udaje się na studya do Akademii wiedeńskiej, poczem po zorganizowaniu Akademii krak. przez Matejkę — wraca do niej. W Krakowie uczył się pod kierunkiem Łuszczekiewicza, Szynalskiego, Dembowskiego i Matejki, we Wiedniu pod prof. Führichem i Rubenem.

Twórczość ś. p. Gramatyki obracała się przeważnie w zakresie malarstwa religijnego i kontemplacyjnego. Najważniejsze prace jego są: „Św. Jacek unoszący figurę N. P. Maryi przed Tatarami", „Św. Jadwiga ks. śląska", „Miłosierdzie", „Długosz", „Św. Wojciech uczący pieśni", „Spowiedź ks. Robaka", „Św. Franciszek rozmawiający z ptaszkami", „Kopernik" i t. d.

„Długosza" wydało Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie jako premię dla swoich członków.

Ś. p. Gramatyka brał także wybitny udział w artystycznych pracach około polichromii kościoła N. P. Maryi w Krakowie, monumentalnem dziele zbiorowem artystów — pozostającem wówczas pod kierunkiem Mistrza Matejki.

Przewrót w Grecyi.

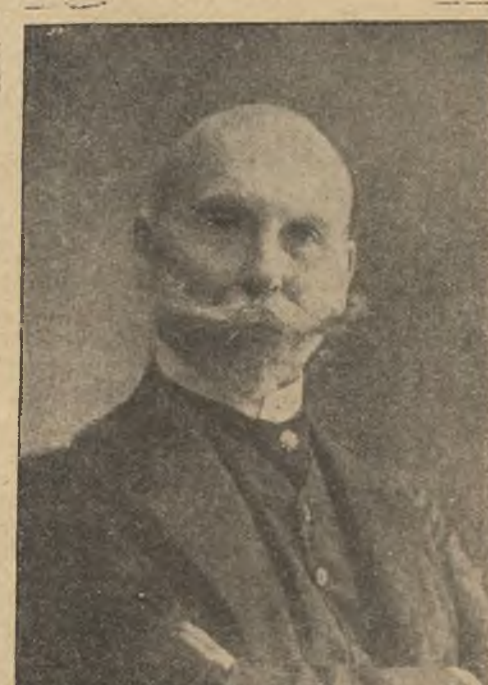
Nieszczęśliwą rękę miał Lloyd George, powierzając Grecyi misyę wypędzenia Turków z Europy i zniszczenia raz na zawsze ich mocarstwowego stanowiska, jeszcze nieszczęśliwszą król Konstantyn, podejmując się mandatu, a nie obliczywszy się wprzódy ze swemi siłami. Anglią kierowała zwykła jej chęć załatwienia swojego interesu cudzym kosztem, Grecya spodziewała się przy tej sposobności zrealizować swe dawno tajone pragnienia wskrzeszenia bodajby miniatury dawnego cesarstwa bizantyńskiego ze stolicą w Konstantynopolu. Obie strony się przeliczyły, Lloyd George opłacił swą polityczną porażkę dymisyą, król Konstantyn wygnaniem.

Jak zwykle w podobnych wypadkach, po porażce w Małej Azyi i konieczności wyrzeczenia się nie tylko spodziewanych ale już zdobytych korzyści, zapanował w Grecyi chaos i anarchia, z których skorzystała partya rewolucyjna, a tworzyli ją przedewszystkiem wojskowi, tak mężnie uciekający przed Turkami. Nastały czasy krwawego terroru, niewygodne nowemu rządowi osobniki



Przewrót w Grecyi: Członkowie głównego Komitetu rewolucyjnego w Atenach: pułk. Plastiras, pułk. Gonatas, kapitan Hadjicyriakos, pułk. Protosynghelos.

usuwano w krótkiej drodze. Gdy w dniu 28. listopada armia rewolucyjna wkroczyła do Aten, pierwszem zadaniem kierowników nowego rządu, na czele którego stanął pułkownik Gonatas, było postawienie przed sądem wojennym dotychczasowego ministerstwa Gunarisa i naczelnego wodza wojsk greckich w Małej Azyi, jako winnych klęski. Los ich był z góry przesądzony, sześciu z oskarżonych po krótkiej, jedynie dla formy przeprowadzonej rozprawie, znalazło się na miejscu egzekucyi, gdzie wykonano na nich wyrok śmierci. Wobec Komitetu rewolucyjnego zeszła na drugi plan władza króla, który pierwsze dni swego panowania spędzać musiał w przymusowem odosobnieniu, nie liczono się wcale z zagranicą, ani też z wolą innych partyi politycznych w kraju, pragnących spokoju, a nie wojny domowej.



Nad mogiłą nestora krakowskich malarzy: Ś. p. Antoni Gramatyka

I znowu losy potoczyły się zwykłą koleją, a przeciw rewolucyi utworzyła się kontrrewolucya, nieszczęsna Grecya zaś, rozgromiona przez Turków, staje wobec grożącej jej wojny domowej.



Przewrót w Grecyi: Gabinet Gunarisa na ławie oskarżonych w dniu 28 listopada b. r., podczas obrony wygłoszonej przez jednego z podsądnych, Protopapadakisa.

LOUIS LETANG.

FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

7)

Owinięta była w szeroką, wełnianą, białą suknię, na którą spadały jej włosy, luzem splecione w dwa warkocze. Twarz jej uśmiechnięta radośnie, nie miała już w sobie tego dumnego, surowego wyrazu, jaki uderzył Armanda, kiedy patrzał na nią wczoraj z widowni.

— Marto! jakże ładną i uśmiechniętą jesteś dzisiaj — zawołał, podbiegając ku niej.

— Tylko bez pochlebstw, mój kochany — odpowiedziała. — Mamy tyle poważnych spraw do omówienia. Musimy dzisiaj postanowić o całej naszej przyszłości.

— To tak proste — odparł Armand, siadając obok Marty. — Powrócimy do Thisc i zapewne odnajdziemy w kancelaryi gminy wszystkie papiery potrzebne, a przygotowane trzy lata temu przez zacną twoją opiekunkę panią Vancellier...

— Może napotkamy jakie trudności.

— Żadnych Marto. Przekonasz się. Notaryusz wówczas pomyślał o wszystkiem. Dzisiaj sami będziemy czynić wszelkie przygotowania. Czy to nie będzie rozkoszne? pomyśl! Być może nawet, o ile zechcesz, odnajdziemy, szukając dobrze kogoś z twojej rodziny, Marto! Chciałabyś? powiedz!

— Oh! tak, chcę, chcę gorąco! — odpowiedziała żywo młoda dziewczyna. — Była to myśl moja najskrytsza, a ty ją odgadłeś...

— Jednakże — podjął Armand wahającym trochę głosem — trzebaby...

— Ani słowa więcej — przerwała Marta, kładąc mu rękę na usta. — Zobaczmy, czy zrozumieliśmy się dobrze. Chciałeś powiedzieć, że chcąc czynić te poszukiwania, muszę być wolną zupełnie! Czy nie tak, Armandzie? Wolna od wszelkich zobowiązań i kontraktów teatralnych. A więc dowiedz się, że przygotowałam już wszystko. Nie ukażę się już nigdy na scenie, rozumiesz mnie, Armandzie? Dżim zabierze wszystkich moich dzikich przyjaciół, którzy byli pocieszycielami moimi przez te trzy lata i odprowadzi ich do Katalonii, do miejsca zamieszkania starego Greka. Znajdzie się tam ktoś chętny, kto ich przyjmie.

— Oh! Marto! idziesz naprzeciw wszystkich moich najgorętszych pragnień! — zawołał Armand, uniesiony szaloną radością. — Lecz czy nie pożałujesz kiedy tej ofiary?

— Kocham cię, Armandzie i świat cały znika z przed moich oczu, na twój widok — odpowiedziała z prostotą młoda dziewczyna.

— Marto, przerażasz mnie. A jeżeli nie stanę się godnym takiej miłości? Jeszcze nie uczyniłem nic dla ciebie. Kto wie, co los mi przeznacza? Czy zdołam zwrócić na siebie uwagę tłumów, czy wybiję się na stanowisko, jakiebym pragnął mieć — dla ciebie!

— A czyż nie posiadam różdżki magicznej — zaśmiała się Marta. — Ujarzmiałam nią moje tygrysy — potrafię powolnem uczynić otoczenie nasze, zmusić do uznania ciebie.

— Wszystko jest czarem w tobie, Marto — ale nie wierzę w władzę twojej hebanowej laseczki — odparł wesoło Armand.

— Źle czynisz. Ja wierzę w nią. Pochodzi ona z Indyi i była własnością jakiegoś bardzo starego i uczonego fakira. Ona nie jest z hebanu, Armandzie. W wydrążeniu jej mieszczą się cienkie płatki złota i srebra i innych jeszcze mieszanych metali, napojonych tajemniczymi jakimiś płynami. W dnie burzliwe, kiedy ją trzymam w ręce, sypią się z niej fale drobnych iskierek elektrycznych. Ale pomówimy o tem jeszcze. No, Armandzie, nie zasmucaj nam tych godzin radosnych — dodała, ujrzawszy nagle zamyślenie jego. — Myślmy o jutrze!

— Tak, Marto! Mam słuszność! Myślmy o jutrze — powtórzył za mną Armand, otrząsając się z wrażenia, które go nagle objęło. — Jedziemy do Thisc!

— Jedziemy do Thisc dziś jeszcze — zaraz — o dwunastej, pociągiem pospiesznym! — zawołała Marta.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Ułożyłam już w nocy cały program. Mam zamiar spędzić czas, który nas dzieli od ślubu, w mojem dawnem schronieniu, w klasztorze.

— Oh! — szepnął przecząco Armand.

— Tak być musi... Klasztorne mury nie przerażają mnie teraz... a potem...

— A potem, Marto?

— A potem... po ślubie, pojadę z tobą do Indyi i pomogę ci w wypełnieniu twojej misyi.

— Pojechałabyś ze mną najdroższa!

— To jest marzenie moje. Zobaczysz, że będę ci tam użyteczną. Czytałam wiele opisów o tym kraju — znam go prawie. Ale teraz zostawię cię na chwilę. Muszę się przebrać do drogi. Przygotowałyśmy już wszystko z Bocą. Jedziemy za godzinę.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Dżim, poczciwy murzyn Dżim szedł ulicą smutny i niespokojny.

Wiedział o zamiarach swojej pani, wiedział, że będzie zmuszony rozłączyć się na kilka tygodni z młodą swoją żoną i odjechać daleko — do Hiszpanii, aby wykonać misyę powierzoną mu przez miss Elvę.

Zaledwie jednak Dżim uszedł kilka kroków, wyszedłszy z mieszkania przy ulicy Saint Germain, kiedy mały jakiś człowiek, rodzaj robotnika w bluzie, podszedł do niego, kłaniając mu się grzecznie.

Dżim był zarozumiały jak wszyscy jego rasy. Mały człowiek otrzymał tylko pogardliwe spojrzenie. Ale nie zrażony, uporczywie stąpał koło Dżima, uśmiechając się do niego, tytułując lordem, ekscelencyą, czcigodnym panem.

Próżność Dżima w końcu mile połechtana została i zaczął okazywać więcej pobłażania. Zapytał więc nieznajomego, czego żąda od niego.

Brood — bo był to właśnie detektyw na usługach lorda Halley — pragnął wkraść się w łaski Dżima i prosił o przyjęcie jako pomocnika w staraniach około tygrysów miss Elvy. Znał się na tem znakomicie. Długi czas był pierwszym dozorcą w menażeryi słynnego Deron.

Jednakże wszystkie zalety fachowe, jakie wyliczył, nie zdawały się wzruszać Dżima.

— Nie potrzebować... nie potrzebować... — mówił smutnie. — Już nie przedstawiać. Teatr skończyć się.

— Jakto? — zawołał Brood na tę wiadomość. — Miss Elva nie będzie się już produkować? Cały Paryż tak ją uwielbiał! Ależ to nieszczęście, prawdziwe nieszczęście! Czy to możliwe? Może pan się myli?

— Nie mylić — pokiwał melancholijnie Dżim. — Miss Elva wyjechać pospiesznym dziś o jedenastej, a ja właśnie iść do teatru z rozkazem, aby zmienić afisz.

Na te słowa nieoczekiwane, mały Brood ledwie powstrzymał okrzyk zdumienia.

— Oh! jaka szkoda! jaka szkoda! — pocieszał Dżima, idąc ciągle z nim dalej. — Taka sława! T. ka znakomitość!

Ale nagle, nie kiwnąwszy nawet głową murzynowi odwrócił się na pięcie i podszedł do Pilera, stojącego ciągle na swojem stanowisku.

— Baczność — szepnął, ocierając się o niego. — Mała opuszcza nagle Paryż. Miej powóz gotowy. Będziemy podróżować. Ja idę teraz przebrać się.

Punktualnie o godzinie dwunastej, Marta, Armand i mała Boca wsiadali do przedziału pospiesznego pociągu, który miał ich zawieźć do Besancon.

O tej samej porze, w tym samym wagonie zajmował miejsce Piller w liberyi swojej firmowej, na którą zarzucił, szeroki, ciemny płaszcz angielski.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Dnia tego lord Halley jadł śniadanie u hrabiego de Valdeuse.

Hrabia był jakiś roztargniony, zakłopotany i nerwowy.

— Wyobraź sobie, mój kochany — zwrócił się w pewnej chwili do towarzysza. — Jestem zmuszony bezzwłocznie jechać do Rochegrise. Oh! co za podróż w tym czasie. Można utonąć w zaspach śnieżnych.

— Zaczekaj na porę łagodniejszą — radził lord. — Czas może się zmienić.

— Nie mogę!

— Dlaczego?

— Jadę na pogrzeb mojego teścia.

— Oh!

— Tak, tak! Przyjemna ceremonia — nieprawdaż? Ten biedny markiz nie mógł wybrać lepszej pory. Otrzymałem dziś telegram od mojej żony.

— Widocznie nie dziedziczysz, skoro ta śmierć jest ci tak obojętną?

— Nie. Dziedziczy tylko hrabina. Ale co to za spadek! Stary, feodalny zamek, ponury i zimny, gdzie pokutują jakieś duchy.

W tej samej chwili rozmowa przerwana została przez wejście służącego, który wniósł na tacy list pilny dla lorda Halley'a.

— Pozwolisz, mój kochany

— Ależ oczywiście!

Lord rozdarł kopertę i niewzruszony czytał wiadomość podaną przez sir Jamesa o nagłym wyjeździe miss Elvy.

— Nie będzie odpowiedzi — zwrócił się do oczekującego służącego. — Wiesz o czem dowiedziałem się dziś rano? — zaczął po jego odejściu obojętnym głosem lord Halley.

— Czy to coś nieprzyjemnego dla ciebie? — zapytał hrabia Valdeuse.

— Hm! prędzej może dla ciebie, mój kochany.

— Dla mnie?

— Tak! Piękna mis Elwa, którą tak się zachwycałeś jeszcze wczoraj wieczór...

— No, mówże, mów prędzej — nalegał silnie podniecony Valdeuse.

— Otóż, miss Elva wyjechała nagle, w towarzystwie pięknego, młodego chłopca — afisze zmienione... przedstawień więcej nie będzie.

Pan de Valdeuse zbladł silnie na te słowa.

— Żartujesz chyba, Randolfie — wymówił drżącym od wzruszenia i wściekłości głosem.

— Wcale nie. Przysięgam ci, że to jest prawda.

— Ah! — wybuchnął hrabia — do wszystkich dyabłów! Więc ta mała świętoszka zakpiła sobie ze mnie! A jednakże... ale ja muszę się dowiedzieć... muszę... co to znaczy i natychmiast wybiorę się w po cig za nią.

— Kiedy?

— Bez straty czasu... natychmiast...

— A pogrzeb w Rochegrise?

— Ah! prawda — jęknął hrabia, chwytając się za głowę. — Ten pogrzeb! Ja muszę tam być! W głowie mi się mąci... co robić?

Lord Halley uśmiechnął się z politowaniem.

— Uspokój się, Valdeuse! Co się z tobą dzieje. Tracisz panowanie nad sobą. Nie przypuszczałem, aby ta wiadomość takie na tobie uczyniła wrażenie. Czy chcesz, abym ci pomógł?

— Mów.

— Czy naprawdę jechać musisz?

— Niestety, tak. Muszę wyjechać kuryerem o drugiej dwadzieścia i starać się zdążyć na jutro rano do Rochegrise.

— A chciałbyś jednak mieć wiadomości o naszym zbiegu i wiedzieć dokąd podążyła?

— Ah! czy ja chcę!

— A więc ja ci mogę oddać tę przysługę!

— Zrobiłbyś to, Randolfie?

— Zrobię.

— Dziękuję ci — jesteś moim prawdziwym przyjacielem! — zawołał hrabia. — Ale jakże weźmiesz się do tego, mój kochany?

— Oh! bardzo prosto. Dobry ajent śledczy, a znam właśnie takiego, załatwi wszystko ostrożnie i dokładnie. Bądź tylko cierpliwy.

— Randolfie, będę ci wdzięcznym aż do śmierci!

— Nie żądam tyle - sprawa tego nie warta. Uspokój się tylko i nie spóźnij się na pociąg.

XI.

Tymczasem w Monestier działy się niezwykłe rzeczy.

Młody ksiądz Klemens wniesiony w ową noc fatalną nieprzytomny do mieszkania proboszcza — długi czas nie mógł uzyskać przytomności umysłu, pomimo gorliwych starań obecnych.

Leżał złożony na łóżku, blady, nieruchomy nie dając żadnej oznaki życia.

Stary proboszcz, Pegrusse, dowiedziawszy się o tragicznym wypadku swojego wychowanka, chociaż sam ciężko chory i przykuty do fotela na kółkach, kazał się natychmiast zawieźć do pokoju rannego.

Przy pomocy starej służącej Maryanny, dźwignął się z fotela i zaniepokojony silnie, blady ze wzruszenia pochylił się nad księdzem Klemensem, wyczuwając ręką bicia jego serca.

Po chwili wyprostował się i odwrócił z uspokojoną już trochę twarzą, wydając rozporządzenie służącej, aby przygotowała trochę gorącej wody i wyjęła z apteczki wymienione przez niego zioła. Kiedy naparzenie już było gotowe, proboszcz przemocą wlał łyżkę napoju w usta rannego, a równocześnie kazał tym samym ostudzonym odwarem przemyć starannie wszystkie jego rany i obrażenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MARYA SEGENY.

OTCHŁAŃ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

7

Kiedy nadchodziła nowa era jego erotycznych poszukiwań, Wanke umiał się stać tak marzycielskim, takim uroczym paziem trubadurem, wysilającym się na zasłużenie łask wybranej kobiety, że często bardzo sam tę artystycznie odegraną rolę brał za prawdę.

Lecz cały ten nastrój, cała ta atmosfera miłosna, którą sam się upajał i w którą wprowadzał drugą, zteoryzowaną jego uwodzicielską siłą istotę — upadał szybko, kiedy pierwszy przedsmak przesytu dotknął czujne jego nerwy i krytykę.

Dzięki tym nieobliczalnym wybrykom natury, której nawet ścisły rozum i ostrożność kupiecka ujarzmić nie mogły, Wanke naraził się opinii niejednokrotnie. Mówiono po cichu, bo zanadto wielkim potentatem finansowym był on w mieście, aby pozwalano sobie na głośne uwagi i zarzuty, że nie jedno życie ludzkie zatracone zupełnie, lub też wykolejone miał on na sumieniu.

Głośniejsze krzywdy i skargi, grożące skandalem, szczególniej te, których terenem były pracownie firmy — uspokajała kasa starego Wankego, do której syn jego jako już współwłaściciel bezwzględne miał prawo.

Dochodziło też pomiędzy nimi obydwoma do przykrych i głośnych scen, których echo podchwycone ciekawem uchem kogoś z współpracowników rozchodziło się po mieście — lecz ostrożność, a zresztą bezcelowość jakiejkolwiek interwencyi — nakazywała milczenie dyskretne.

Obecnie wszystkie myśli Wankego wypełniał obraz niedawno poznanej Marty.

Od pierwszego ujrzenia jej w pracowni zainteresował się nią silnie, a ciche, spokojne zachowanie się dziewczyny, jej młodość i prostota, pełna szczerego, nieświadomego wdzięku, tak szarpnęły jego tułaczą nigdy nie zaspokojoną tęsknotę, że zapragnął gorąco zbliżyć się do niej i przemożną siłą tego ubezwładniającego uroku, którym tak umiał otaczać wybrane przez siebie kobiety — zmusić do poddania mu się.

A właśnie w tym czasie nieznośnie ciężyć mu zaczął, zawiązany niedawno stosunek z głośną i dosyć kosztowną Luną Sokolicz, do której zbliżył się pociągnięty pozornym jej perversyjnym temperamentem, który okazał się wkrótce tylko ładnie podaną sztuką i kaprysem światowej zanadto wybujałej na kulturze buduarowej artystki. Znudzony już do ostateczności i podrażniony poznaniem Marty, Wanke, postanowił więc zerwać tamten stosunek i w tym celu przymusił się do napisania nieprzyjemnego bardzo listu do dawnej przyjaciółki, w którym zawiadamiał ją o swoich zamiarach.

Był nawet pewnym, że nie ominie go pomimo tego listu niemiła z nią scena i, że ona sama zjawi się tu, w malinowej sali, do której dość często dotąd razem przychodzili. Uzbroił się więc w cierpliwość i czekał, chcąc raz na zawsze przykrą tę sytuacyę zakończyć.

I nie omylił się.

Zaszeleściał delikatnym szmerem, wiotki jedwab sukni kobiecej, buchnęła fala ciężkich dusznych perfum i przy stoliku, smukła, wytworna w ruchach i linii stanęła pani Luna.

Przepyszne futro fantastycznym krojem poszerzające ramiona, zwężającym półlukiem owijało szczelnie zgrabne nogi, uwydatniając nieskazitelny zakrój rasowej łydki. Błyszcząca lakierowana skóra, obejmowała wąskie, małe stopy.

— Jak się masz, Lon — zadźwięczał pozornie wesoły, niefrasobliwy głos.

— Ah! to ty!

— Nie spodziewałeś się mnie?

— Przeciwnie. Byłem pewnym, że tu przyjdziesz — z grzecznym półukłonem uniósł się Wanke, wskazując ręką, miekką, aksamitną kanapkę, na której siedział.

— Znam cię aż nadto dobrze — dodał ze znudzonym uśmiechem. — Nie mogłabyś przecież sobie odmówić odegrania najefektowniejszej sceny ostatniego aktu — nieprawdaż?

Z pod oryginalnie opuszczonego skrzydła kapelusza, wyjrzało baczne, obserwujące spojrzenie, delikatnie podcieniowanych oczu i krótką chwilę spoczęło na niewzruszonej, matowej twarzy mężczyzny.

Zadzwoniły niecierpliwie targnięte breloki u złotej branzolety i głos pani Luny zadźwięczał napół ironiczny, napół niespokojny.

— Cóż to, zrywasz? Co znaczy twój list?

— Nic tak bardzo ważnego... sprzykrzyła mi się...

— Ja?

— Nie — chwila... to takie naturalne...

— Uważasz? jestem trochę innego zdania.

— Wszystko w życiu kończy się... znasz mnie... nie jestem stworzony do przymusu — nuda zabija pomału pozornie najtrwalsze uczucia i przyzwyczajenia...

— Nie mówiłeś tego, zbliżając się do mnie...

— Ah, Luno, nie bądź sentymentalną — skrzywił się z niesmakiem Wanke. — Czyż człowiek odpowiadać może za jutro... za nową chwilę w przyszłości?

— Chwilę wskrzesić można — przedłużyć, przytrzymać — siliła się jeszcze na spokój pani Luna, choć wykarminowane jej usta drżały hamowanem oburzeniem.

— Wskrzesić? Przedłużyć? — uśmiechnął się Wanke ironicznie. — Dziękuję bardzo! Nie czuję apetytu do odgrzewanej, chociażby najlepszej potrawy.

— Lon, jesteś cyniczny! — wybuchnęła pani Luna.

— To tylko optyczne złudzenie, moja droga. W tej chwili jestem sobą i jestem szczery.

W chaos panujący na sali wpadły teraz nagle donośne tony muzyki. Namiętne, gorące dźwięki egzotycznej jakiejś melodyi zadrgały bolesnym, przyzywającym jękiem, budząc wspomnienia upalnych, jasnych nocy podzwrotnikowych, dyszących wiecznem pragnieniem obezwładniającej bezwzględnej rozkoszy.

Zadrgały lekko nozdrza Wankego, jak gdyby nagle wyczuł w koło siebie narkotyczny, upajający zapach rozbujałych kwiatów, zmięszany z drażniącym zapachem ciał kobiecych, pulsujących żywem tętnem krwi wzburzonej.

Szare jego oczy przysłoniła lekka mgła upojenia.

Z miłosnego nastroju, w którym pogrążyły się wysubtelnione jego zmysły, zbudził go głos pani Luny.

Cichym, zduszonym, jak gdyby przez wzruszenie szeptem płynęły słowa z jej ust.

— Przechodziłam niegdyś drogą twojego życia... obca, nieznana... obojętna. Kazałeś mi stanąć... Byłam posłuszna twojemu egoizmowi. I oto wplotłeś mnie przemocą w krąg swojego wędrownego życia... nazwałeś chwilą... momentem i oto teraz...

Wybuch śmiechu przerwał jej słowa.

— Z jakiegoż skandynawskiego dramatu wyciągnęłaś tę wspaniałą „stimmmugową" tyradę, moja kochana. Dajże spokój! To dobre na scenę. Zanadto się nią przejmujesz jak widzę i nie czujesz, że ośmieszasz się fatalnie. Nie do twarzy ci z tem Luno, wierz mi. A zresztą — dodał Wanke, poziewając lekko — czy nie widzisz, że mnie tym ckliwo-histerycznym napadem, nudzić na dobre zaczynasz?

— Świeżego żeru dla twoich postrzępionych użyciem nerwów potrzeba — żachnęła się zirytowana.

— Przypuśćmy. Nad tem, co się kończy niema się co roztkliwiać i niczemu co żyć zaczyna tamować drogi nie można. Jesteśmy niewolnikami przeznaczenia.

— A przeznaczenie twoje na jutro — to Marta — ta głupia... prowincyonalna gęś, bufetowa piękność, fryzyerska lalka — wybuchnęła ordynarną zazdrością pani Luna, wypadając z roli wystudyowanej poprzednio.

— Oh! to mi się podoba! Taką cię wolę, bo przemawia przez ciebie typowa kobieca ambicyjka i zazdrość.

— Zazdrość —, zaśmiała się nieszczerze pani Luna — o takiego pajaca jak ty! Żałuję tylko, że zmarnowałam przy tobie tyle długich miesięcy — bo jeżeli po mnie... może być taka dziewczyna!...

— Taka — czy nie taka — zawsze będzie inna, rozumiesz? Ona ma w sobie młodość i szczerość... a ty, wybacz, chere amie... chwilami tylko ładnie wycyzelowaną sztukę. Bo, wiesz, właściwie, nie wiem o co ci chodzi? Przecież mnie nigdy, ani przez sekundę nie kochałaś?

— Skąd wiedzieć o tem możesz? — ożywiła się nagle przyjemnie pani Luna, widząc w tem zapytaniu nowe pole do sentymentalnego popisu. — Tak?... skąd? Czy wy się nas o to pytacie? Kiedy zmysły wasze, którą z nas poruszy, zatapiacie się w nich bez pamięci i nic więcej ponad to was nie obchodzi — a że tam dusza której zadrga boleśnie, że pragnienie miłości...

— Ah! fi donc! Znowu zaczynasz kwilić sentymentalnie — wzruszył ramionami Wanke. — Nie chciejże mnie brać na to! Myślałem, żeś subtelniejsza, belle amie.

— Lon, zastanów się... przypomnij... — przytuliła się miękkim ruchem do jego ramienia pani Luna, patrząc kusząco w oczy. — Wspomnienia cię otoczą... wspomnienia tych naszych uroczych rozkosznych chwil... Przyjść może godzina żalu...

— Niema żalu po chwilach, które ulatają jak mgła — po przeżyciu — wymówił trochę szorstko Wanke, odsuwając się w głąb kanapki. — Przestań Luno, przestań — zupełnie bezcelowo przedłużamy tą rozmowę. Bo widzisz, zapomniałem ci powiedzieć, a powinienem to był nawet w liście zaznaczyć — że pomimo wszystko, nie cofam danych dawnych przyrzeczeń — rozumiesz? To chyba bardzo upraszcza sytuacyę dla ciebie.

— Jakto? — zamieniła się cała w słuch pani Luna, a oczy jej zabłysły radosną nadzieją.

— Będziesz mogła dalej korzystać z kostyumów i suk en potrzebnych ci na scenę. Zdaje się, że to załagodzi tę miłość twoją zapoznaną przeze mnie — zaśmiał się drwiąco Wanke. — Nie chcę ci od razu za wiele zabierać. I miłość moja... i portfel — to za wielka by była strata dla ciebie...

Pani Luna chwilę milczała.

Różnorodne myśli i uczucia odzwierciadlały się na jej wyrazistej twarzy.

Należało może zagrać jeszcze raz komedyę?

Przejąć się na chwilę rolą nieszczęśliwej kochanki, odrzucającej ze szlachetnem oburzeniem materyalną pomoc niewdzięcznego kochanka?

Ale świadomość, że właściwie nic nie traci na zerwaniu z Wankem, była tak nieoczekiwana i radosna, że po chwili wahania uznała za stosowne rozpływać się w uniesieniach wdzięczności naprawdę tym razem szczerej.

— Lon! jesteś kochany, złoty chłopiec — zawołała wesoło, przytulając się do niego całem ciałem. — Dlaczego mi tego odrazu nie powiedziałeś, szkaradny łobuzie. Więc przecież lubisz swoją Lunę, co? Kiedy chcesz, żeby zawsze ładnie wyglądała i zawracała wszystkim głowę. No, bo pomyśl — co jabym robiła bez tych tualet. I publiczność i dyrektor do nich się przyzwyczaili. A te pindy tam, za kulisami, dalej trzaskać będą z zazdrości! Wiesz, przyznam ci się, że najwięcej mi o to chodziło! Nie! tego bym naprawdę strawić nie mogła — wypadała coraz więcej z wytwornego tonu pani Luna, uspokojona już i zadowolona. — Już małpiszony zaczęły wczoraj gadać za kulisami i dogryzać mi. A tak, teraz będą musiały buzię zamknąć i honorować mnie jak dawniej.

— Ciszej, Luna, ciszej — mitygował ją Wanke zadowolony również z obrotu sprawy. — Zaczynają nam się przyglądać.

— A niech tam! Wszystko mi jedno! Uf! a to mi ciężar spadł z piersi. Wiesz, chciałam tej twojej nowej flamie iść oczy wydrapać! Ale teraz będę wspaniałomyślna! Zabaw się z nią kotku, zabaw! I tak wiem, że do mnie wrócisz, zatęsknisz... Po kartoflach ze sloniną, chętnie znowu skosztujesz deseru — zaśmiała się łobuzersko, strzelając do niego oczami. — Nie boję się takiej rywalki! Ale, czekajno Lon, na moich piątkowych przyjęciach musisz się dalej pokazywać. Nie chcę, żeby trąbili po całej Warszawie, że mnie rzuciłeś — pamiętaj.

— Tak — mogę przyjść na chwilę — zgodził się chętnie Wanke — ale wiedz Luno i zastosuj się do tego, proszę cię, niczego więcej odemnie żądać nie możesz. Pozostaniemy przyjaciółmi, bardzo correct, nic więcej.

— Ależ, dobrze, dobrze — nadąsała się sztucznie, prawie obrażona. — Doskonale się wszystko składa... wiesz, ten kupiec z Łodzi... bardzo wygodny... raz na tydzień tylko przyjeżdżać chce.

(Ciąg dalszy nastąpi).

EDMUND ZECHENTER.

Po latach...

— „Szczególna wizyta...“ — pomyślała pani zapewne ze wzruszeniem ramion, czytając moją kartę...

— Ależ pomyślałam tylko: zaszczyt!... Bo prawdziwy to zaszczyt dla mnie, że pan, należący dzisiaj do naszych głośnych i sławnych, wróciwszy z za granicy, raczyłeś sobie przypomnieć o jakiejś tam znajomej z przed lat „zjadaczce chleba“...

— Czy jednak te odwiedziny nie stanowią wykroczenia przeciw regułom towarzyskim, bo męża pani nie znam osobiście...

— Wkrótce przyjedzie z fabryki, poznacie się panowie i wszystko będzie po formie... Niechże pan siada, bardzo proszę...

Źrenice ich utonęły w sobie na chwilę, lecz zaraz się rozbiegły, jak spłoszone ptaki. Była minuta męczącego milczenia. Z przeciwległej ściany salonu patrzył na nich uparcie portret sędziwej damy o rysach ostrych i ustach dumnych, zaciętych.

— Od ośmiu lat nie widziałem pani...

— Ach, czas tak prędko ucieka i tyle zmian przynosi!... Trzy lata temu sielskie życie w naszym dworku zamieniłam na czysto miejskie... Wnet potem pochowałam mamę. Brat po dłuższej przerwie znów w Heidelbergu; właściwie ma się promować na doktora filozofii. Będzie to drugi doktorat. Panowie pisujecie do siebie? Przecie to dawna przyjaźń...

— Jerzy pisuje do mnie czasami, ja, przyznam się pozostaję niekiedy dłużnym odpowiedzi. Ale zawsze żywię dla niego dawne uczucia... Tych nie wykreślamy z serca tak łatwo... my, mężczyźni...

— Czy sądzisz pan, że Jerzy uzyska z czasem katedrę na naszej lub obcej wszechnicy?

— Spodziewam się tego. W każdym razie bardzo mi się podoba jego żądza wiedzy i ambicya. Jerzy, to duchowo nadzwyczaj zdrowy typ. Zazdroszczę mu tego zdrowia...

— Panu jednakże lepsza cząstka przypadła w udziale... O nim, z wyjątkiem szczupłego grona fachowców, znających jego naukowe prace, nikt nie wie, a pańskie nazwisko...

— Ach, nazwisko!...

— No tak... cieszy się już szerokim rozgłosem...

— „Nazwisko“ a moje najistotniejsze *ja*, to rzeczy zupełnie różne...

— Nie rozumiem... Przecież aureola sławy już pana otacza. Każda pańska książka budzi zachwyt, uwielbienie... One siłą swej treści i głębi przykuwają do siebie — ale gnębią... Niektóre są jakby rodzajem zmory, co pierś ugniata i zrzucić jej nie można. Odważam się na paradoks, że zbyt głęboko sięgają do istoty rzeczy i odbierają odwagę do życia. Może nie każdy z czytelników doznawał tego wrażenia — ale ja...

— Więc według pani błędem moim jest...

— To nie błąd przecież za wiele barw ponurych... Naprzykład te „Czarne marzenia“... Rzecz nieporównana, ale trucizna dla tych, co czytają... A trujesz ich pan może z kaprysu...

— Co za przypuszczenie!...

— O!, lubujesz się pan w takich tematach... Bo jednak nie mogę opędzić się myśli, że, wy, artyści, rozdzieracie nam serca i targacie nerwy na zimno... Głęboka intuicya, mistrzostwo formy, wystarczają, aby dany utwór wywołał silne wrażenie: nie koniecznie trzeba samemu przecierpieć to wszystko, co cierpią dzieci waszego ducha... Osobiście można być szczęśliwym i wesołym... Kto bowiem posiada oprócz szybko zdobytej sławy tak piękną, jak pańska, żonę, ten chyba jest szczęśliwym...

Wtem za ścianą rozbrzmiały dźwięki fortepianu. Ktoś grał nokturn Chopina. Na jej turkusowe oczy opadły cienie czarnych rzęs i pochyliła swą śliczną głowę, chcąc daremnie ukryć rumieniec, co wypłynął na białe lica, niby różowy obłoczek. On, wstrząśnięty nagle, patrzył na nią z sercem bijącem. Nie wiedziel!, jak długo teraz trwała cisza. Z zapartym oddechem chłonęli pierwsze akordy tęsknej pieśni bez słów, nie mogąc z pod jej czaru się uwolnić.

— Ten sam... Ten najulubieńszy wówczas, przed laty — ten... nasz!.. A jednak... pani grałaś go lepiej...

I znów chwila milczenia. Wreszcie podniósł głowę i, szukając jej spojrzenia, mówił z tłumionem uniesieniem:

— Dziwne mam wrażenie patrząc na panią i słuchając tego nokturnu. Zdaje mi się, że tych lat nie przeżyłem wcale, że one były tylko marą senną. Oto cały świat wspomnień zmartwychwstaje żywy, piękny, uroczy. Czuję nad sobą czarodziejskie tchnienie młodości i szczęścia, które, niestety, zagasło, jak płomyk zdmuchnięty...

— Co to znaczy być poetą z Bożej łaski!... Utwór muzyczny usposobił pana do improwizacyi i odrazu zaczyna pan improwizować na jakiś temat fantastyczny...

— Czy to określenie słów moich ma być antydotem na tę... improwizacyę?

— Broń Boże! To była tylko szczera uwaga, że widzę w panu poetę...

— Tylko poetę?

— Tak...

— Więc była to uwaga bardzo — nieszczera!...

— O!...

— Bo pani widzisz i odczuwasz we mnie teraz tylko człowieka i —

— Ależ... mylisz się pan...

— ...I obawiasz się tej muzyki, co zbudziła uśpione mary wspomnień, które nadleciały z przeszłości i płaczą nad twoją głową. Nie chcesz ich słyszeć, nie chcesz widzieć, lecz widzisz je wszystkie — czytam to w twych oczach...

— ...Oto jesteśmy ci sami, co dawniej, przed laty. Bo czyż tak nie jest? Spojrzyj tylko pani w głąb serca... Wszak to było wczoraj... Bawię tam na wakacyach u państwa, jako przyjaciel Jerzego, zaszczycany życzliwością twej matki. Onego pamiętnego poranka znaleźliśmy się wśród lasu, na prostej linii leśnej, mieniącej się od tysiąca ruchomych świateł. Jechaliśmy obok siebie, szczęśliwi. Pnie sosen, jak pochodnie, płoną czerwono, śpiewy ptaków echa roznoszą daleko... Szczyty starych drzew słońcu, porankowi, pochylają się miarowo, jakby bijąc pokłony, czy... tobie pani. Wtem koń twój, zląkłszy się potwornej kłody, rzuca się w bok. Za chwilę bladą, strwożoną, z twarzyczką krwawiącą, z powodu upadku, cucę i uspokajam. Serce omal piersi mi nie rozsadzi z żalu, żeś się wylękła, że, uśmiechasz się blado przez łzy, jak wylęknione dziecię, ach, i ze szczęścia, że jestem przy tobie, że wolno dotknąć mi twej rączki, wolno wilgotną chustką chłodzić zranioną twarzyczkę i uspokajać cię, i uciszać, i pić radość niewysłowioną z twego dobrego, wdzięcznego spojrzenia...

— Co za poezya wspomnień na tle Chopinowskiego nokturnu!...

— Zagrałaś go pani niespodziewanie tego samego dnia wieczorem. Pamiętasz? W salonie był zmrok, tylko księżyc jaśniał w oknach, srebrzył liście kwiatów w doniczkach i kładł dyadem świetlany na twoje włosy cudowne. Grałaś, jak natchniona. Wszyscy byliśmy rozrzewnieni i przejęci...

A potem te cztery tygodnie, spędzone pod jednym dachem: te przechadzki, te rozmowy przyjacielskie, szczere, poufałe, zbliżające tak bardzo, łączące tak ściśle — rozmowy dusz, spragnionych siebie i wyciągających dłonie mistycznie do uścisku... Pamiętasz?

...Później — nie byłem już zapraszany do państwa. Zapewne mama powtórny mój pobyt w swym dworku uważała za niewłaściwy... Tak... byłem ubogi... Wydział filozoficzny nie daje u nas karyery, awansów, znacznych dochodów... Rzeczy to dobrze znane... Minęły dwa lata i o pani nic nie wiedziałem. Jerzy prawie że nie wspominał. Było to aż nadto wymowne. Tylko raz przypadek zbliżył nas do siebie. Byłem daleko za miastem na przechadzce. Wieczór zapadał, zorze gasły, snuły mi się w myśli jakieś melodye rzewne na temat konającychzórz... Wtem z tumanu kurzu na gościńcu wyłoniła się bryczka, a w niej ty pani — sama jedna...

...Powitałaś mnie pani z taką swobodą, jak wczorajszego gościa. Słyszę doskonale te słowa banalne, zdawkowe i ten głos czarujący, dźwięczny, ale zimny i obcy. Czy to była gra tak doskonała, czy zupełne zapomnienie? Kazałaś zatrzymać konie, zaprosiłaś mnie i za chwilę jechaliśmy razem. Mroki padały coraz gęstsze. Oznajmiłaś mi, że jedziesz na kolej po jakąś kuzynkę. Rozmawiałaś swobodnie o studyach Jerzego, o literaturze, muzyce, o moich pierwszych pracach, gratulowałaś — ale ponadto nic, ani jednego ciepłego słowa. Bolesny spazm łkał mi w piersiach, gdym słuchał tej tak bajecznie swobodnej rozmowy i wyczuwał w niej nieodwołalny wyrok śmierci na to, co było mi najdroższem. Lecz do ostatniej chwili łudziłem się jeszcze. Ciemno było, gdyśmy wjeżdżali do miasta. Szalona myśl opętała mnie wówczas. Chciałem przygarnąć cię do siebie i choć raz odetchnąć wonią twych włosów upajających... Ale nie odważyłem się. Zanadto byłaś mi świętą. Potem przed dworcem kolei pożegnałaś mnie bardzo uprzejmie, lecz tak, jak się w obcem mieście żegna przechodnia, który wskazał drogę.

— Po co pan budzi przeszłość?... Czyż nie lepiej, aby dalej spała twardym, kamiennym snem, bez urojeń i czarownych obrazów?... Jednak — zły z pana psycholog...

— Nie, pani. Mimo wszystko miałem ciche, lecz uparte poczucie, że było między nami coś silniejszego, niż prawa i formy, które nas rozdzieliły. Ale dość o tem. W każdym razie nie opuściłaś mnie pani znów tak wielkim nędzarzem; posiadałem sztukę, która wówczas była mi bóstwem dobroczynnem, uspokajała, koiła, dawała nawet chwile upojeń...

— Wszak miewasz je pan i dzisiaj...

— O, dawno minęły. Wówczas myśl o odrobinie powodzenia odurzała mnie, dzisiaj ten świat wymarzony i upragniony zmierzchł, niby jasna łąka, gdy słońce nagle zajdzie za chmurę. Prawda, jak wtedy smutno? Pani może także inaczej przedstawiałaś sobie oczekujące cię życie...

— Posiadasz pan jednak bądź co bądź swój ulubiony zawód...

— Nie chciałaś pani słyszeć moich ostatnich słów... Przepraszam!... Ach, ulubiony zawód!... W chwili, gdy mnie uznano i do nazwiska przyklejono etykietę z napisem: „talent“ — czar prysnął. Pozostała tylko praca, bez której zapewne żyć bym nie mógł, lecz, która jest zarazem moją męką i niewolą, a nie pełnem zadowoleniem, jak bywało dawniej, w początkach. To dziwne — a jednak tak jest. Przekonałem się, że podstawa życiowa, jaką daje ulubiony zawód, nie jest całą podstawą. Goniłem cudną Dafne, a zdobyłem, jak w greckiej legendzie, gałązkę zieloną, którą zwarzy lada ostrzejszy podmuch — i wtedy nic mi nie pozostanie...

— Nic?!... Zapominasz pan, żeś żonaty...

— Ani na chwilę nie zapominam. Niewytłómaczona, chora ciekawość pcha czasem człowieka do wielkich hazardów... A hazardy są niebezpieczne... Po takiej grze albo się strzela sobie w łeb, albo... żyje się dalej!... O!, niewinny eksperyment na własnej duszy... To ogromnie interesujące!...

— Nie mów pan tak, błagam, nie mów...

— Zachwycającym ruchem podniosłaś pani dłonie do skroni... Nabawiłem migreny zapewne.. Istotnie za dużo mówiłem...

— Po co to szyderstwo?!... Ale czyś pan zauważył? Ucichło... Moja sąsiadka rozdarła nielitościwie nokturn w połowie...

— Pani, grając, z pewnością nie dopuszczasz się takich barbarzyństw...

— Nie grywam teraz zupełnie...

— Jakto przy takich zdolnościach? A, to prawdziwa szkoda... Sztuki nie godzi się odtrącać...

— Ja jej też nie odtrącam, tylko — nie mogę. Nie jestem w stanie pomyśleć, jakbym dzisiaj, zasiadłszy do fortepianu, wzięła pierwsze akordy — choćby tego nokturnu...

— Tak... rozumiem. Po nokturnach Chopina scherzo, to rzecz zbyt prosta... Nieustanne scherzo życiowe... rozumiem... Żegnam panią...

— Ależ mój mąż co tylko nie nadjedzie. Rad będzie widzieć takiego gościa...

— Daruje pani, ale w obecnej chwili, po wysłuchaniu tego nokturnu...

— Nie chciałbyś pan już słuchać przykrego scherza?... Zapewne...

Kronika tygodniowa

Niniejsza kronika zamykająca rok 1922., powinna właściwie należeć do obu stykających się ze sobą lat, t. j. zawierać pożegnanie Starego Roku i powitanie Nowego. Ponieważ jednak powitanie musimy sobie odłożyć do następnego numeru, będącego noworocznym, choć pojawi się właściwie dopiero w tydzień po Nowym Roku, narazie ograniczamy się do wspomnienia pośmiertnego o roku schodzącym do grobu, nie kontynuując także i świątecznych życzeń w myśl poprzedniej zapowiedzi, gdyż wyczerpaliśmy je w zupełności w ubiegłym tygodniu. Krótkie były, a tem szczersze i serdeczniejsze, kto się do nich zastosuje, może być pewnym, że się doczeka lepszej przyszłości, jeśli nie zaraz, to bodaj po latach, gdyby zaś w międzyczasie opuścił ten padół płaczu i dodatków drożyźnianych, sam sobie musi winę przypisać.

W myśl starej zasady: *de mortuis nihil, nisi bene*, należałoby chwalić rok 1922. i podnosić jego dobre strony, nie możemy tego jednak, niestety, uczynić, cieszymy się tylko, że się raz już przecież skończył i pocieszamy nadzieją, iż następca nie wejdzie w ślady poprzednika. Te dwanaście miesięcy kłopotów i trosk i to do tego bez trzynastej pensyi dały się nam porządnie we znaki. Zamykając bilans całoroczny, dochodzimy wprawdzie do przekonania, że jesteśmy milionerami, jak nie przymierzając Rotszyld, Morgan lub Rockefeller, ale także wiemy i o tem bardzo dobrze, że jeszcze nigdy nie byliśmy takimi dziadami, jak obecnie.

Świadczą o tem n j ędiej święta Bożego Narodzenia, które miały tylko jedną dobrą stronę, t. j. były pogodne i ciepłe, ale w niczem nie przypominały dawnych, p zed wojennych, kiedy to kosztem niecałej połowy setki koron miało się i obfitą wilję, z rybkami, winem, struclami, a tych darów bożych było tyle, w stanie stałym jak i płynnym, iż wystarczyło na kilka dni następnych. A dziś, aż żal wspomnieć, jakie święta można było sobie urządzić kosztem kilkudziesięciu tysięcy marek. Kilo karpia około pięć tysięcy, inne artykuły, bez których dawniej świąt nie wyobrażaliśmy sobie, w tym samym stosunku, dla umysłowo pracującego intelligenta nie pozostało zatem nic innego, jak karpia zastąpić śledziem i to jeden na dwie osoby..., a popić go zamiast wina cienką herbatką, osłodzoną sacharyną.

Tegoroczna wilja narobiła dość kłopotu wszystkim rodzicom także i z tego powodu, że pierwszy dzień Bożego Narodzenia przypadł na poniedziałek, do stołu wigilijnego zasiąść zatem należałoby w niedzielę wieczór, ponieważ jednak Kościół w takich wypadkach przenosi post na dzień poprzedni, wyłoniło się pytanie: sobota czy niedziela. O ile obydwoje małżonkowie byli jednego i tego samego zdania, to jeszcze bagatela, jeżli jednak różnili się w swych zapatrywaniach, doprowadzało to do scen domowych, niejednokrotnie zaś skończyło się odłożeniem wilji na rok następny, który już żadnych wątpliwości pod tym względem nie nasunie, gdyż przypadnie ona na poniedziałek. Ogłosił wprawdzie w *Wiadomościach Krakowskich*, ksiądz Pixa, że powinno się pościć i wieczór wigilijny urządzić w niedzielę. *Naprzód* jednak w komunikacie Dyrekcyi tramwajowej zawiadomił, iż sobota przeznaczona jest na wieczór wigilijny. Niewątpliwie ksiądz Pixa. jako osoba duchowna, zna się dobrze na przepisach kościelnych, z drugiej jednak strony musi się wierzyć także i *Naprzodowi*, który od chwili wyboru ks. biskupa Sapiehy do senatu stał się arcyklerykalnym i występuje stale w obronie papieskich rozporządzeń, ma zatem widocznie w składzie swej redakcyi kogoś bardzo biegłego w sprawach, dotyczących Kościoła.

Są rodziny, które bezpośrednio po wieczorze wigilijnym muszą się udać na Pasterkę, gdyż bez niej świąt nie rozumieją, jakże więc mogłyby biesiadować w sobotę wieczór, skoro Pasterka odbędzie się dopiero w niedzielę w nocy, poszczenie zaś w niedzielę jakoś dziwnie wygląda. Nie pozostawało im zatem nic innego, jak i w sobotę pościć z polecenia Dyrekcyi tramwajowej i *Naprzodu*, a w niedziele według wskazówek księdza Pixy. Nie kłopotali się tylko kawalerowie, jako bezdomne istoty, pokutujące postem za swe grzechy przez rok cały.

Niemało też zmartwienia miały nasze gospodynie ze samemi świętami. Na trzy dni, t. j. niedzielę, poniedziałek i wtorek, kiedy sklepy i jatki są zamknięte, trzeba było porobić zapasy, a tu jak na złość, powiedzieli sobie panowie rzeźnicy, że to najodpowiedniejsza sposobność do wymuszenia nowej podwyżki cen i pochowali mięso, skazując ludność Krakowa w ten sposób na post ścisły nawet w te dni, kiedy Kościół kasuje obżarstwo. Wprawdzie policya zabrała się wyjątkowo energicznie do tych paskarzy i lichwiarzy żywnościowych i gdy oni pozamykali swe sklepy, ona pozamykała rzeźników, ale to głodnych nie nasyci. Rozpoczęły się procesye od sklepu do sklepu, od jatki do jatki, kłaniano się pokornie panom Wołobójcom i niemal na klęczkach proszono o zmiłowanie, nie na wiele się to przecież przydało, a komu się udało wyrwać gdzieś bodaj z kilogram wołowiny, uważał się za szczęśliwca.

Przyznać się musi, że nasi rzeźnicy i masarze, o ile rozchodzi się o podwyższanie cen, odznaczają się nadzwyczajną solidarnością, tak jak znowu w normalnych czasach arogancyą i szorstkością wobec odbiorców, wiedząc dobrze o tem, że skazani są na ich łaskę lub niełaskę, a im bardziej napychają się ich kabzy, tembardziej hardzieją i ich dusze. W zgodnej parze z rzeźnicką płcią męską idzie i ich płeć nadobna, nie odnaczająca się zbyt miękkiem sercem, choć się niem tak lubi chwalić. Słyszeliśmy niedawno, że żona pewnego biednego urzędniczyny, będąc w jatce celem zakupna funta mięsa, dowiedziała się z ust pani właścicielki, że takiej ilości nie opłaci się jej sprzedawać. Zmuszona koniecznością zdecydowała się nabyć zatem całe kilo, a gdy się ośmieliła zwrócić uwagę, że dokładka trochę za wielka i bezużyteczna, spotkała się z odpowiedzią:

— To idź sobie pani gdzieindziej, ja panią nie prosiłam, aby pani do mnie przychodziła... Jaka mi jasna pani, którą nie stać na kupienie całego kila!... Nie weźmie pani, weźmie z pocałowaniem ręki kto inny... Ja tylko z dobrego serca sprzedaję hołocie i do tego dokładam...

To rzekłszy uderzyła się potężną pięścią rzekomo w serce, ale właściwie w żywot i dołożyła... jeszcze jedną kość do ważonego w tej chwili mięsa.

Zestawiając te i tym podobne okoliczności, widzimy, że tegoroczne święta nie były właściwie połączone z większymi wydatkami, choć może bowiem znalazłyby się pieniądze na zakupno, nie było gdzie kupić i co kupić, oczywiście z artykułów do życia niezbędnych, gdyż zbytkowych było pod dostatkiem i na nie nie żałowali ludzie pieniędzy. Wystarczyło wstąpić dajmy na to do nowego sklepu Piaseckiego pod „Bananami“, aby się przekonać, jak Krakowianie żądni są słodyczy, być może dlatego, aby sobie osłodzić swą gorzką dolę, choć znowu, patrząc na oblicza tych dwu setek klientów, czekających tam cierpliwie na swą kolej, dojść się musi do przekonania, że źle się im nie wiedzie. Przy tej sposobności niech nam będzie wolno zrobić uwagę pod adresem firmy, że, skoro posiada tak piękny lokal i tak obszerny, a do tego tak liczną klientelę, byłoby bardzo wskazanem, w interesie tak sprzedającego, jak i kupujących, aby obsługujący personal nie był tak szczupły (ale tylko liczebnie...) i nieco lepiej wyszkolony w wykonywaniu swego zadania. Trzy panienki na ponad dwustu odbiorców to trochę zamało, a wiemy o tem dobrze, że u Piaseckiego ruch podobny bywa nie tylko w czasie przedświątecznym, ale i codzień. Dodajmy do tego, że owe panienki, choć sprzedają słodycze, nie zawsze odznaczają się słodkością obejścia się z gośćmi, a będziemy mieć mniej więcej to samo, co powiedzieliśmy wyżej o p. p. rzeźnikach.

Jak już zaznaczyliśmy na początku aura w czasie świąt była dość znośna i, choć Obserwatoryum astronomiczne nie zanotowało silniejszych wiatrów, już od soboty spotkać można było na ulicach wiele jednostek silnie „zawianych“. Szły niepewnym krokiem, (ale to wina także i krakowskich bruków), mruczały zaś pod nosem:

— Teraz nie wiem, czy wódka była niedobra, czy też może wypiłem już za wiele?...

Ponieważ zaś alkohol oddziaływa silnie na serce, każdy pijak staje się ogromnie czuły i serdeczny, rad ugościłby każdego, znajomy, czy nieznajomy, ale gdzie tu iść, skoro wszystkie knajpy pozamykane, a pod dach rodzinny prowadzić gościa jakoś nie wypada, nie będąc pewnym, jak przyjęłaby go czcigodna małżonka, skoro się jawi w towarzystwie męża, będącego „w takim stanie“. A w domu znalazłoby się i coś przetrącić i czemś popić, niestety, w tych warunkach staropolską cnotę gaścinności musi się zawiesić na kołku.

Albo taki obrazek prawdziwie majowy, malowany w słońcu, choć pochodzący z końca grudnia.

Rzecz dzieje się wieczorem w sobotę, uznaną przez Dyrekcyę tramwajową za dzień wigilijny. Na Linii A-B. około godziny siódmej ruch nadzwyczaj ożywiony, rojno i gwarno, ale najhałaśliwiej zachowuje się towarzystwo, złożone z kilku osób obojga płci, należących do typu „andrus krakowski“. Środek tworzy pan w cylindrze, z boku drugi z harmonią, inny z flaszką „pocieszycielki“, która krąży z rąk do rąk, dodając ochoty. Harmonia gra, towarzystwo śpiewa, wszyscy rozstępują się, robiąc miejsce wesołemu zespołowi, który dochodzi do wylotu ulicy Sławkowskiej, gdzie zwykle spotkać można stróża bezpieczeństwa publicznego. Był tam i wówczas, ale, wyszkolony metodą angielską, odwrócił się tyłem, aby nie widzieć wesołków i wyrazić im w ten sposób swą pogardę, na nie potrafił go wyprowadzić z równowagi nawet trzask rozbijającej się flaszki. A towarzystwo, dalej wesoło śpiewając, odwróciło się do niego tyłem i podążyło z powrotem tą samą drogą. Przechodnie, obserwujący ten epizod, podziwiali iście angielską flegmę i stoicki spokój naszych aniołów stróżów.

W pierwszy dzień świąt urządzono nam niespodziankę, za którą nie wiemy, komu mamy być wdzięcznymi, Dyrekcyi Tramwaju, czy też redakcyom, podającym nieścisły komunikat. Ogłoszono mianowicie, że w dzień ten kursować będą wozy tramwajowe od godziny 2 popołudniu, tymczasem zapadł już wieczór, a na mieście żaden się z nich nie pokazał. Na stacyach gromadzili się ludzie i oczekiwali cierpliwie, a nie doczekawszy się, odchodzili, mrucząc pod nosem:

— Te tramwaje, to jednak bardzo mądry wynalazek!... Jak one przyczyniają się do ożywienia ruchu...

I drugi dzień nie obszedł się także bez niespodzianki, dość smutno świadczącej o energii naszych władz, w tym wypadku samorządowych, wydających rozporządzenia, do których nikt się nie stosuje. Ogłosił magistrat *urbi et orbi*, że obrzucanie się w dzień św. Szczepana na publicznych miejscach owsem lub confetti jest najsurowiej wzbronione, a przekraczający ten zakaz pociągani będą do odpowiedzialności. Tymczasem, jak gdyby na urągowisko powadze magistratu, jeszcze nigdy może nie zużyto w Krakowie w tym dniu tyle śmieci rozmaitego rodzaju na wzajemne obsypywanie się, jak w roku bieżącym, a nikomu nie przyszło nawet do głowy pociągnąć sypiących do jakiejś odpowiedzialności.

Oto mniej lub więcej wesołe wspomnienia z tygodnia, kończącego rok stary.



Założyciele Muzeum Narodowego
w Krakowie.

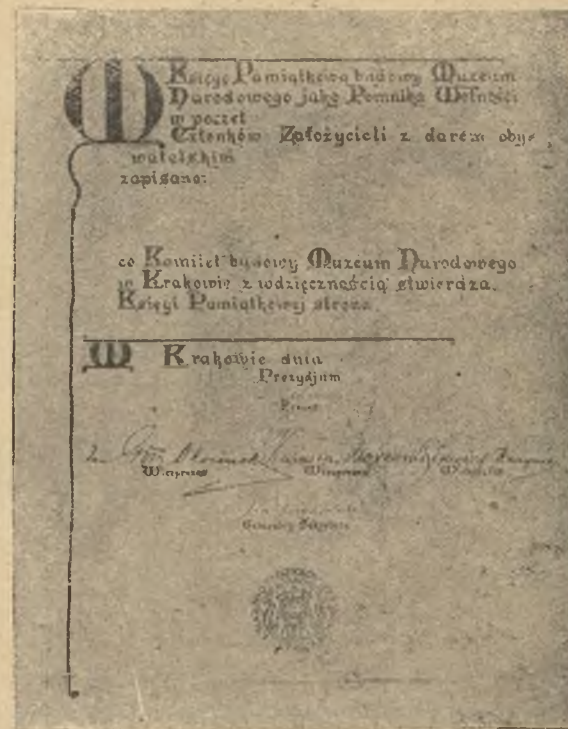
W poprzednim numerze pisaliśmy obszernie o budowie Muzeum Narodowego w Krakowie jako Pomnika Wolności. Pomysł ten znalazł ogólne uznanie, a zawiązany w tym celu komitet rozwinął energiczną działalność.



Rola sowietów w Lozannie: Cz czerin w otoczeniu członków delegacyi sowieckiej w Lozannie.

Do zrealizowania owego wielkiego projektu potrzeba jednak zbiorowego wysiłku, współpracy wszystkich, zrzeszeń czy jednostek, w miarę ich środków i możności. Należy być pewnym, że społeczeństwo nasze zdobędzie się na ten zbiorowy czyn, a to zarówno w interesie tradycyi i zagadnień Krakowa, jak i w zrozumieniu potrzeby upamiętnienia odzyskania wolności tak potężnym a tak właściwym pomnikiem.

Komitet budowy Pomnika Wolności wezwał na założycieli muzeum — wszystkich i dla ułatwienia wpisu wprowadził — zależnie od wysokości wkładki trzy kategorye członków założycieli, a to: dożywotnich z wkładką od 100.000 marek włącznie w górę, rzeczywistych niżej tej kwoty do 10.000 mp., i wspierających poniżej 10.000 mp. Założycielom dwóch pierwszych kategoryi wydaje Komitet artystyczne trójbarwne dyplomy zaprojektowane przez art. malarza J. Gumowskiego. Dyplomy te, stanowiące dowód karnie wypełnionego obowiązku obywatelskiego, stanowią zarazem ze względu na swą artystyczną wartość prawdziwą ozdobę mieszkania czy biura, i winny znaleźć się w każdym domu, w każdym urzędzie, w każdej firmie. Wierzymy, że się to stanie...



W Księgę Pamiątkową budowy Muzeum Narodowego jako Pomnika Wolności w poczet Członków Założycieli z darem obywatelskim zapisano:

co Komitet budowy Muzeum Narodowego w Krakowie z wdzięcznością stwierdza.

W Krakowie dnia

Prezydjum

Założyciele Muzeum Narodowego w Krakowie: Dyplom dla członków-założycieli Pomnika Wolności w Krakowie.

Clemenceau w Ameryce.

Wspominaliśmy już w jednym z poprzednich numerów o podróży byłego premiera francuskiego, Jerzego Clemenceau, do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej gdzie w całym szeregu największych miast wygłosił sędziwy polityk odczyty, mające za zadanie przekonać amerykańskie społeczeństwo, że Francya nie żywi bynajmniej imperyalistycznych zamiarów, o jakie ją jej nieprzyjaciele pomawiają. Wobec odmowy ratyfikacyi traktatu wersalskiego przez Stany Zjednoczone, znalazła się Francya w krytycznem położeniu. Traktat ten zapewniał jej na wypadek napadu niemieckiego pomoc Ameryki i Anglii, zmiana kierunku polityki amerykańskiej w stosunku do Europy uczyniła te gwarancye bezprzedmiotowemi, obietnice zaś samej Anglii nie wydały się rządowi francuskiemu wystarczającemi. Francya zmuszoną jest zatem do utrzymywania odpowiedniej armii, która ochroniłaby ją w danym wypadku od powtórzenia się wydarzeń z r. 1870 i 1914.

Oto główny cel podróży Clemenceau do Ameryki, gdzie przyjęto go w sposób bardzo serdeczny, nie szczędząc dowodów sympatyi tak ze strony czynników oficyalnych, jak i ogółu społeczeństwa, zamachu bowiem, jaki rzekomo planowano na niego St. Louis na seryo brać nie można.

Rola sowietów w Lozannie.

Nowoczesna polityka, choć okazuje ogromne upodobanie do najrozmaitszych konferencyi i zjazdów, nie ma jednak do nich szczęścia. Niemal co miesiąc spotykają się ze sobą dyplomaci, grudzień zanotował równocześnie aż trzy podobne zjazdy: Lozanna, Londyn i Moskwa.

Najważniejszą z nich była i jest dotąd konferencya lozańska, mająca doprowadzić do normalnych stosunków na Bliskim Wschodzie. Ważną rolę odegrała na niej delegacya rosyjska, zostająca pierwotnie pod kierownictwem Rakowskiego i Worowskiego, a później samego Cziczerina. Choć tylko tolerowana przez mocarstwa i nie dopusz-



Clemenceau w Ameryce: 1) Owacyjne przyjęcie francuskiego gościa w Nowym Jorku. 2) Clemenceau udaje się do budynku miejskiego w Nowym Jorku celem wygłoszenia odczytu.

czona do wszystkich obrad, potrafiła ona wywrzeć duży wpływ na ogólny przebieg rokowań. Delegaci sowieccy poparli silnie stanowisko Turcyi w kwestyi cieśnin, oświadczając się za otwarciem ich dla ogólnego ruchu handlowego, z wykluczeniem okrętów wojennych, nadzór pozostawiając w rękach Turcyi, a nie mocarstw. Czując za sobą poparcie rosyjskie, Ismet basza nie okazywał też mniej skłonności do ustępstw, niż się spodziewano. Dyplomacya sowiecka, w szczególności zaś Cziczerin, odniosła znowu zwycięstwo i dowiodła, że potrafi każdą sposobność wyzyskać na swą korzyść i zmusić mocarstwa, nie uznające oficyalnie sowieckiej Rosyi, do poważnego z nią liczenia się.



Rola sowietów w Lozannie: Dokonane w ostatnich dniach w Lozannie zdjęcie fotograficzne Cziczerina w mundurze jenerała czerwonej armii, którą to godność ofiarowano mu w uznaniu wielkich zasług dla sowieckiej Rosyi.

Morderca ś. p. prezydenta Narutowicza.

W dniu 30. grudnia b. r. staje w Warszawie przed sądem zwykłym sprawca zamachu, dokonanego w dniu 16. bieżącego miesiąca na osobie ś. p. prezydenta Narutowicza, artysta malarz, Eligiusz Niewiadomski.

Fakt sam i okoliczności mu towarzyszące zbyt dobrze znane są Czytelnikom, abyśmy mieli bawić się w ponowne roztrząsanie, ograniczymy się zatem jedynie do podania niektórych dat z życia mordercy.

Eligiusz Niewiadomski urodził się w r. 1869. Po ukończeniu szkoły realnej w Warszawie i Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, poświęcił się karyerze artystycznej, którą rozpoczął w kraju, a kontynuował w Paryżu. Wkrótce jednak porzucił malarstwo, a powróciwszy do kraju oddał się krytyce artystycznej, wykładając ponadto historyę sztuki w kilku wyższych zakładach naukowych warszawskich, między innymi także w tamtejszej Szkole Sztuk Pięknych. Jako krytyk, wszedł w bliższy kontakt z dziennikarstwem, zabierając niejednokrotnie głos także i w sprawach ogólnych, ze sztuką nic wspólnego nie mających. W odrodzonej Polsce zajmował wyższe stanowisko w Ministerstwie Kultury i Sztuki, gdzie za czasów Przesmyckiego i Heuricha kierował departamentem sztuk plastycznych.

Zdania co do stanu umysłowego Niewiadomskiego i jego poczytalności są podzielone. Jedni przedstawiają go jako człowieka zupełnie normalnego i za swe czyny odpowiedzialnego, inni natomiast twierdzą, że swojego czasu uległ on wypadkowi, który wpłynął ujemnie na jego stan psychiczny.

Cuda nieuczonej techniki.

Tybet, ten kraj otoczony do niedawna nimbem świętych tajemnic, dzisiaj dzięki śmiałości i poświęceniu odważnych podróżników zbadany bliżej, przedstawia istotnie wiele ciekawych i niezwykłych urządzeń, świadczących, że kultura w bajecznym tym kraju stała jednak na znacznej wyżynie.

Rycina przynależna do tego artykułu przedstawia jeden z takich „cudów nieuczonej techniki".

Jest to most trzcinowy wiszący nad rzeką Dihong, osiągający wysokość 50 m. w środku, a 100 m. na obu przyczółkach.

Rzeka Dihong przepływa południowy Tybet, zamieszkały przez plemię Abor.

Dokładniejsze zbadanie tych pod każdym względem ciekawych okolic, dotychczas bardzo mało znanych szerszemu światu, a zasługujących na to w zupełności, zawdzięczamy przedewszystkiem Anglikom. Londyńskie Towarzystwo Geograficzne od dwu już lat zajmuje się wyszukaniem dostępu na szczyt Gaurizankaru, pozatem na swoją rękę urządzają w głąb kraju wycieczki naukowe liczni podróżnicy, głównie angielskiego pochodzenia.

Niedawno przybył do Kalkuty sir George Pereire, wojskowy attache poselstwa angielskiego w Chinach, po odbyciu w ciągu 2-ch lat prawie całkowicie pieszo 7.000 milowej podróży przez Tybet. W ciągu podróży Pereire nie spotkał się z żadnym wrogim wystąpieniem ze strony ludności, nawet w prowincyach, w których panuje bandytyzm. Pereire był wszędzie dobrze przyjmowany, pozwolono mu nawet wejść do Lhassy, gdzie spotkał się z Dalai Lamą.

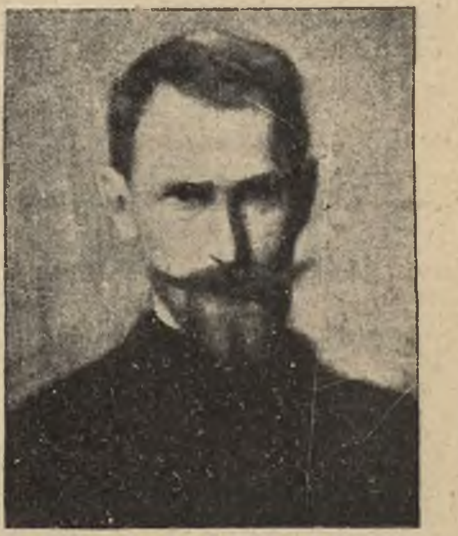


Cuda nieuczonej techniki: Most trzcinowy nad rzeką Dihong w Tybecie.

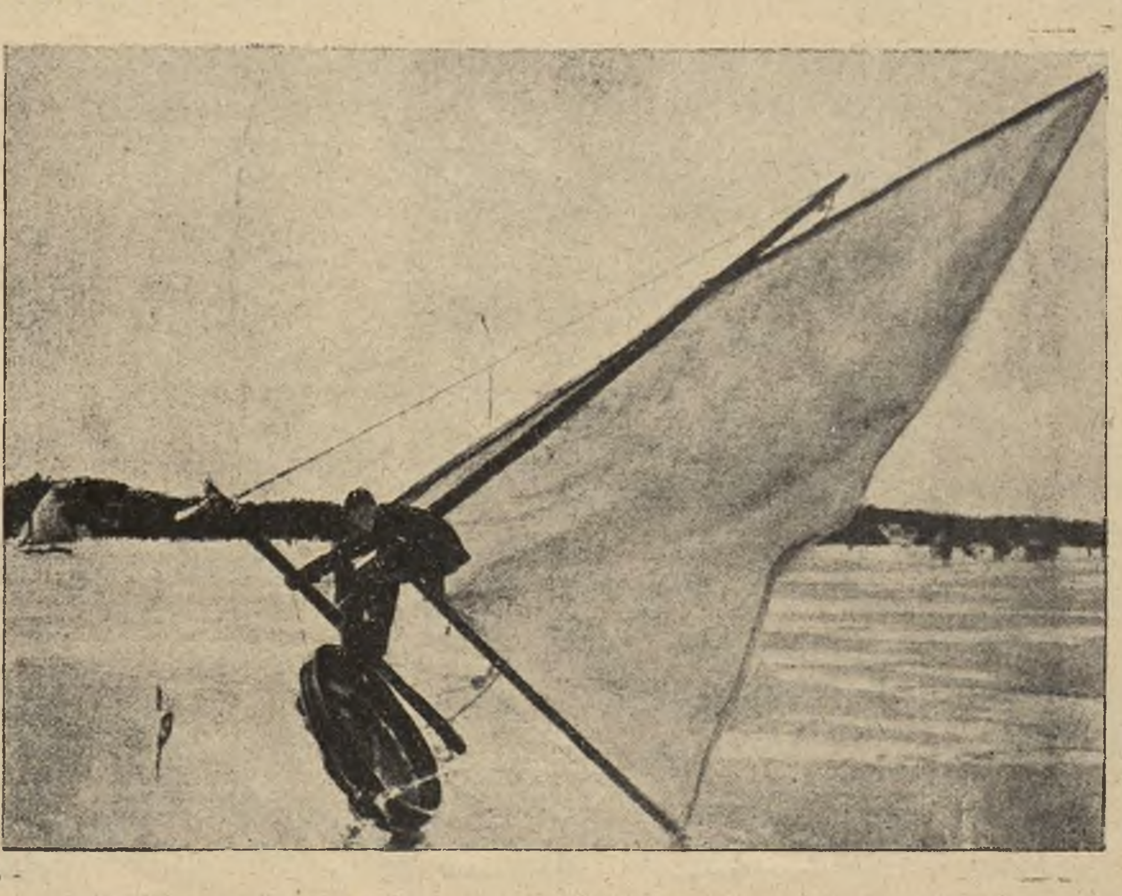
Z dziedziny karkołomnego sportu.

Dotycząca rycina przedstawia oryginalną w pomyśle łódź lodową, opatrzoną w żagiel, którym śmiały sportowiec może łatwo manewrować nadając dowolny kierunek biegu łodzi, będącej właściwie czemś pośrednim między sankami, a olbrzymią łyżwą.

Jest to sport niezmiernie trudny i wymagający ogromnej wprawy i przytomności umysłu. Ale dla tego właśnie znajduje zapalonych zwolenników wśród północnych mieszkańców Skandynawii. Jest to sport w każdym razie bardzo oryginalny, bo pozwalający żeglować po jeziorach i morzach, pokrytych powłoką lodową.



Morderca ś. p. prezydenta Narutowicza: Artysta malarz, Eligiusz Niewiadomski.



Z dziedziny karkołomnego sportu: Łódź lodowa opatrzona żaglem

Zgon wybitnego obrońcy.

Każde miasto ma swoje charakterystyczne właściwości tak pod względem topograficznym i architektonicznym jak i swych typów.

Te typy ludzkie są wybitnymi rysami fizyognomii miasta.

Takim charakterystycznym typem, bujną, na wskróś oryginalną indywidualnością na bruku warszawskim był zmarły niedawno Korwin Piotrowski. Nieboszczyk pochodził ze znanej szlacheckiej rodziny kresowej, był rodzonym bratem zna-

komitej Gabryeli Śnieżko-Zapolskiej. Z zawodu prawnik i świetny obrońca karny, wsławiony zwłaszcza w procesie hr. Bogdana Ronikera — był ś. p. Piotrowski znaną w Warszawie figurą. Nie pierwszej młodości z pokaźną łysiną okoloną czarnymi jak kruk włosami, szlachetnych rysów twarzy, z monoklem w oku, ubrany wedle ostatniej mody — był to stary romantyk zabłąkany z XVII wieku, w nasze czasy, — w istocie rzeczy walczący wiecznie z urojonymi wrogami i przeciwnościami; w gruncie poczciwy o złotem sercu człowiek, którego ekstrawagancye zdumiewały Warszawę.

Ś. p. Piotrowski jak wspomnieliśmy prowadził kancelaryę adwokacką — zajmował się dziennikarstwem i belletrystyką, a jego odczyty „O ogólno ludzkich ideałach Bolesława Prusa“ wyrobiły mu jako prelegentowi nawet pewną markę. Typowa postać Piotrowskiego pozostanie zapewne na długo w pamięci i wspomnieniach Warszawy.

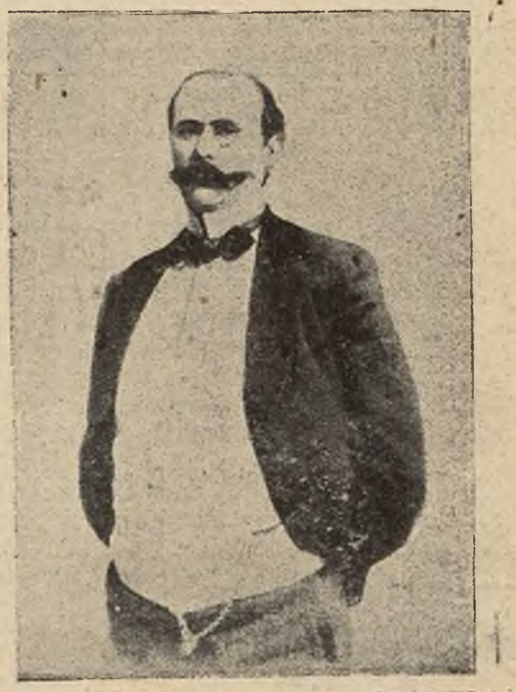
W niniejszym numerze podajemy portret tego szlachetnego dziwaka i ostatniego romantyka w życiu w XX. wieku.

Z półek księgarskich.

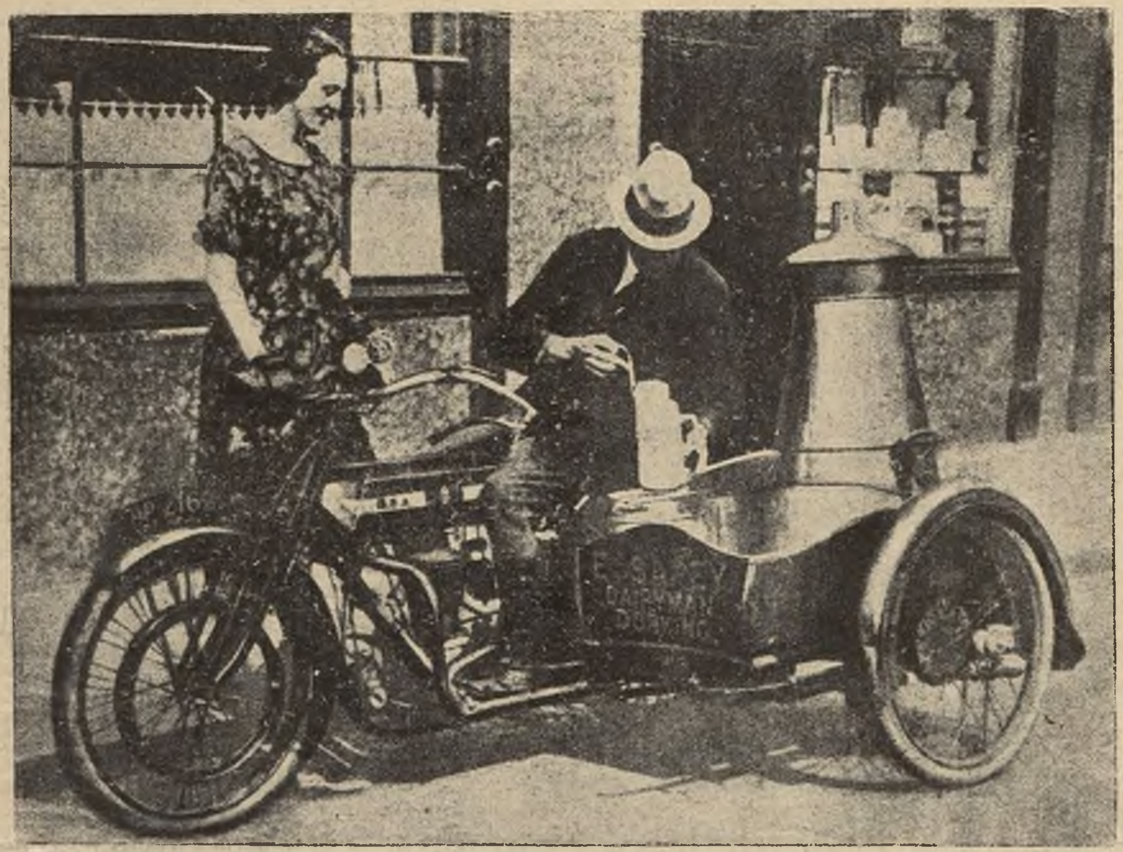
„Z teki obrońcy“ napisał Hofmokl-Ostrowski. Jest to szereg bezpretensyonalnie skreślonych opowiadań i wspomnień z praktyki adwokackiej autora. Opowiadanie odznacza się interesującą treścią, barwną formą i pewną skłonnością do senzacyi. Naogół „Z teki obrońcy“ jest miłą lekturą, zwłaszcza dla młodych palestrantów.

Dr. Józef Ordyński: „Ochrona lokatorów, a prawo własności“. Autor, znany adwokat wydał rozprawkę gruntowną i jasną w sprawie ustawy o ochronie lokatorów. Wykazuje on słuszność wymienionej ustawy. Zarazem proponuje autor przedłużenie trwania tej ustawy ze szczególnem uwzględnieniem potrzeb zawodów wolnych, które stale powinny być chronione przed rujnującą byt eksmisyą. Broszura dra Ordyńskiego zawiera nadto szereg trafnych uwag i pomysłów co do prawa wypowiedzenia lokalów, podwyżki czynszów etc.

Jan Biegański: Ogródek lekarski przy szkole. Zwięźle zebrana treściwa botaniczka lekarska zawierająca opis najgłówniejszych roślin leczniczych z ich zastosowaniem. W przedmowie autor zachęca do zakładania „ogródków lekarskich“ przy szkole, któreby były nie tylko ogródkiem botanicznym dla dzieci, ale zarazem pepinierą i rozsadnikiem nasion na najbliższą okolicę. Dziełko zasługuje na rozpowszechnienie zwłaszcza w kołach nauczycielskich



Zgon wybitnego obrońcy: Ś. p. Kazimierz Korwin Piotrowski.



Rozwóz mleka motocyklem: Przekupień mleka ze swoim motorowym wehikułem.

Z nadchodzącym Nowym Rokiem

składamy naszym P. T. Czytelnikom, Przyjaciołom i Korespondentom

serdeczne życzenia pomyślności.

Rozwóz mleka motocyklem.

Rzecz dzieje się naturalnie nie u nas. W Polsce transportuje się nabiał starodawnym środkiem lokomocyjnym — furmankami chłopskiemi.

Inaczej w Anglii, gdzie czas i szybkość umieją ludzie należycie wyzyskać. Załączona tu rycina przedstawia jeden z typów z bruku londyńskiego.

Jest to uliczny przekupień mleka, który sprzedał konika i wózek i kupił sobie motocykl, uznając, że to jest o wiele sprawniejszy środek lokomocyjny.

Jak zarabiał a obecnie zarabia „inteligent“ i robotnik.

Wojna światowa nie tylko zmieniła fizyognomię polityczną Europy, ale dokonała również przewrotu w stosunkach społecznych wszystkich niemal państw. Charakterystycznym przejawem obecnych czasów jest niebywałe upośledzenie inteligencyi pod względem zarobków. Praca umysłowa stała się najmniej popłatną, a ludzie nauki skazani są często ledwo na wegetacyę. Ten nienormalny stan obecnych stosunków przedstawia plastycznie nasza illustracya.

Rysownik nasz w dowcipny sposób przedstawił w odnośnym rysunku — graficzną metodą niepomierny wzrost zarobków robotnika i upadek finansowy „inteligenta“ — w porównaniu lat 1914 i 1922.

Dla objaśnienia dodamy, że wielkość figurek ma być miarą dochodów każdego poszczególnego zawodu.



Jak zarabiał, a obecnie zarabia „inteligent“ i r[illegible] **aficzne przedst**[illegible] **odów w roz**[illegible]

„KUPUJCIE 8% Pożyczkę Złotą“

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Nowości wydawnicze! **Wacław Grabiański** Nowości wydaniczel

PRZESILENIE — Dramat w 3-ch aktach.

DWIE NOWELE — (Stary rybak. Sprawiedliwości)

Kraków, Gebethner i Wolff. 1922.

WYJĄTKI Z RECENZYJ.

...„Przesilenie“ daje poznać ciekawy wysiłek stworzenia dramatu politycznego, rzuconego na szersze tło spraw społecznych. Zamierzenie niezmiernie trudne przeprowadza autor ze znaczną kulturą literacką i publicystyczną. W dziedzinie twórczości na polu dramatu jest „Przesilenie“ zjawiskiem oryginalnem i ciekawem. „Nowa Reforma“ Kraków, Nr. 13; 16 stycznia 1922.

...Akcya toczy się współcześnie, a obfituje w szereg scen o silnem dramatycznem napięciu często graniczącem z tragizmem... „Kurjer Warszawski“ Warszawa, Nr. 34, 3 lutego 1922.

...W zawiązaniu i przeprowadzeniu sztuki znać wybitny nerw sceniczny. Język mocny i zwięzły sprawia, że utwór czyta się miło i z zainteresowaniem... „Głos Narodu“ Kraków, Nr. 91, 22 kwietnia 1922.

.. Najcharakterystyczniejszym dla nowel Grabiańskiego jest symbol: „Stary rybak“ jest symbolem idei-siły, która trzyma człowieka przy życiu, zaś w „Sprawiedliwości“ widzimy obraz walki gminu ze wszystkiem, czego nie zdolny jest objąć rozum człowieka i czego wiara nie zamyka w sobie... „Głos Narodu“ Kraków, Nr. 91, 22 kwietnia 1922.

Tegoż autora: Wojenny Balonik (Bajki i nie-bajki)
Piekło (Szkice z wojny)
Rymy i proza.

REKLAMA

jest najlepszym środkiem do rozwoju

HANDLU i PRZEMYSŁU

Jedynie najtańszy dom handlowy

IGNACY CYPRES

Kraków, Szewska 13/N. I.



poleca niklowy system Roskopf Mk. 12.000, Budzik z przedwojennym werkiem 14.000—. Skrzypce ze smyczkiem 28.000—, i wyżej. Harmonje, wiedeński model, jednorzędówka 25.000, dwurzędówka 45.000—. Trąby akordeonowe 4.000 i 5.000. Djamenty do szkła 7.500 i 8.500. Brzytwy 3 00, 3.500 i 4.000—. Maszynki do włosów 7.0 0 i 8.000 Maszynki do samogolenia 5.000 i 6.000. - Pas do brzytwy 3000—. Kamień 1.500. - Pudła do skrzypiec 1 .000 - 13.000 Mkp. Przy zamówieniu połowę zadatku, resztę za pobraniem. Cennik illustrowany za nadesłaniem Mk. 200 przekazem.

Kupuję złoto i srebro.

DRUKARNIA D. E. FRIEDLEINA

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, tabele i t. p. b. starannie, po cenach umiarkowanych.

Kraków, ul. Kazimierza W. 95

Telefon Nr. 479.

Księga pamiątkowa wielkiej wojny

Jest do nabycia w Admin. „Nowości Illustr.“

Dr Witold Lipiński

ordynuje w chorobach -- skórnych -- i wenerycznych

Aleja Mickiewicza L. 14.

(róg ulicy Czystej)

od godz. 2—5 popoł.

„DZIATWA POLSKA“

dwutygodnik illustrowany.

Pismo dla dzieci.

Wychodzi

1 i 15 każdego miesiąca

Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, ul. Kazimierza W. 95.

:—: Telefon Nr. 479. :—:

„HUMOR POLSKI“

Dwutygodnik humorystyczny

polityczno-satyryczny.

Cena egz. 200 Mk.

Adres Redakcyi i Administracyi Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego L. 95.

WEŁNY

(Bialsko-Bielskie)

na ubrania, kostyumy poleca detalicznie

W. WILKOWA,

Kraków Karmelicka 21.

…wcy: Spadkobiercy St. Lipi… Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina.